

Rama

23 sierpnia 2014

Data publikacji: 14.04.2007

I. RASY LUDZKIE I POCZĄTEK RELIGII

„Niebo jest moim ojcem, spłodziło mnie ono. Rodziną jest mi całe to otoczenie niebieskie. Matką moją jest wielka Ziemia. Najwyżej wzniesiona część jej powierzchni jest jej macicą; tutaj Ojciec zapładnia łono tej, która jest jego małżonką i córką jego.”

Tak śpiewał przed czterema czy pięcioma tysiącami lat przed ołtarzem z ziemi, na którym płonął ogień suchych traw, poeta wedyjski. Głębią przeczucia wieszczego, potęgą uświadomienia tchną te słowa dziwne. Zawarta jest w nich tajemnica dwojakiego pochodzenia ludzkości. Boski typ człowieka poprzedza ziemię i jest nad nią wyższy; niebiańskie jest pochodzenie jego duszy. Ale ciało jego jest wytworem pierwiastków ziemskich zapłodnionych przez treść kosmiczną. Uściski Uranosa i wielkiej Matki oznaczają w mowie Tajników deszcze dusz czy monad duchowych, spadających, aby zapłodnić zarodki ziemskie; są to pierwiastki twórcze, bez których materia byłaby jedynie nieruchomą masą rozlaną. Część najbardziej wzniesiona powierzchni ziemskiej, którą poeta wedyjski nazywa macicą ziemi, oznacza łądy i góry, kolebki ras ludzkich. Co zaś do nieba; Varuna, grecki Uranos, uosabia świat niewidzialny, nadzmysłowy, wieczny i duchowy, obejmuje całą Nieskończoność Przestrzeni i Czasu.

W rozdziale niniejszym rozpatrywać będziemy ziemskie jedynie początki ludzkości podług tradycji ezoterycznych, uznanych i potwierdzonych przez współczesną wiedzę antropologiczną i etnologiczną.

Cztery rasy, zaludniające obecnie kulę ziemską, są córami rozmaitych stref i ziem. Stwarzane kolejno, drogą powolnego

kształtowania się ziemi, wyłaniały się lądy z mórz w znacznych odstępach czasu, nazywanych przez starożytnych kapłanów indyjskich cyklami przedpotopowymi.

Poprzez tysiące lat rodził ląd każdy własną swoją florę i faunę, a uwieńczeniem tego dzieła było stworzenie rasy ludzkiej różnej barwy.

Ląd południowy, pochłonięty przez ostatni wielki potop, był kolebką pierwotnej czerwonej rasy ludzkiej. Szczątkami jej, pochodzącymi od Troglodytów, jaskiniowców, którzy przedostali się na szczyty gór podczas zapadania się ich lądu, są amerykańscy Indianie. Afryka jest macierzą rasy czarnej, nazwanej przez Greków etiopską. Azja wydała rasę żółtą, która utrzymała się w Chińczykach. Najpóźniej powstała rasa biała, której kolebką są lasy Europy, położone pomiędzy nawałnicami Atlantyku a uśmiechami Morza Śródziemnego. Wszystkie odmiany ludzkie są wytworem pomieszań, połączeń, zwyrodnień czy doborów tych czterech wielkich ras. W okresach poprzednich rasa czerwona i rasa czarna pozostawiły ślady w postaci budowli cyklopicznych jak w architekturze meksykańskiej. Świątynie Indii i Egiptu przechowały nieliczne tylko znaki cyfrowe i tradycje, dotyczące tych cywilizacji zanikłych. W naszym okresie góruje rasa biała, rzecz też można, obliczając przypuszczalną starożytność Indii i Egiptu, iż przewaga jej datuje się od siedmiu czy ośmiu tysięcy lat.

Podług tradycji bramińskich, cywilizacja powstać miała na kuli ziemskiej przed 50 tysiącami lat, wraz z rasą czerwoną, na lądzie południowym, w epoce, kiedy cała Europa i część Azji pokryte były jeszcze wodą. Mitologie te wspominają jeszcze o uprzednim istnieniu jakiejś rasy olbrzymów. Odnaleziono w jaskiniach Tybetu olbrzymie kości ludzkie, których budowa przypomina raczej małpę niż człowieka. Są to szczątki ludzkości pierwotnej, przejściowej, bliskiej jeszcze zwierzęciom, nie posiadającej mowy artykułowanej, ustroju społecznego, ani religii. Te trzy cechy powstają bowiem równocześnie i na tym właśnie polega znaczenie ciekawej triady

bardyjskiej, która mówi: „Trzy rzeczy są pierwotne równocześnie: Bóg, światło i wolność”. Wraz z pierwszymi artykułowanymi dźwiękami powstaje społeczeństwo oraz mgliste przeczucie boskiego porządku rzeczy. Jest to tchnienie Jehowy w ustach Adama, zaklęcie Hermesa, prawo pierwszego Manu, ogień Prometeusza. Bóg drga w faunie ludzkiej. Rasa czerwona, jak mówiliśmy, zaludniała ląd południowy, dzisiaj pochłonięty przez ocean, nazwany przez Platona, w myśl tradycji egipskich, Atlantyda.

Wielki kataklizm zniszczył ją częściowo i rozproszył jej resztki. Niektóre rasy polinezyjskie oraz Indianie Ameryki Północnej i Aztekowie napotkani przez Franciszka Pizarro w Meksyku, są przeżytkami dawnej rasy czerwonej, której kultura, zatracona od dawna, miała swoje dni chwały i świetności materialnej. Wszyscy ci biedni spóźnieni potomkowie noszą w duszy swojej nieuleczalną melancholię, właściwą starym, zamierającym beznadziejnie rasom.

Po rasie czerwonej rasa czarna panowała na kuli ziemskiej. Typu jej najbardziej skończonego nie należy szukać w zwyrodniałym murzynie, ale w Abisyńczyku i w Nubijczyku, w którym przechowały się cechy specyficzne tej rasy z doby jej rozkwitu. Czarni zajęli południe Europy w czasach przedhistorycznych i zostali wyparci stąd przez białych. Pamięć ich zaginęła zupełnie w tradycjach gminnych. Odcisnęli oni jednak na nich dwa niezatarte piętna: strach przed smokiem, który był godłem ich królów, oraz pojęcie, że diabeł jest czarny. Czarni wywzajemnili się za obelgę, czyniąc swego diabła białym. W okresie przewagi swojej mieli czarni środowiska religijne w Górnym Egipcie i w Indiach. Ich miasta cyklopiczne wznosiły się na górach Afryki, Kaukazu i Azji Środkowej. Ich ustrój społeczny polegał na bezwzględnej teokracji. U szczytu kapłani, przed którymi drżano jak przed bóstwami; w dole szczepy rojące się bezwładnie, bez podziału na rody, z kobietami-niewolnicami. Kapłani owi posiadali głęboką wiedzę, wyznawali zasadę boskiej jedności wszechświata

oraz kult gwiazd, który pod nazwą sabeizmu przesiał się do narodów białych. Nie było wszakże żadnego ognia łączącego pomiędzy wiedzą czarnych kapłanów, a bałwochwalstwem mas, żadnej sztuki ideowej ani mitologii urobionej na tle wrażeń. Poza tym wszakże był przemysł ich dość już rozwinięty, zwłaszcza zdolność miotania pocisków i posługiwania się w tym celu masami głazów olbrzymich oraz topienia metali w ogromnych paleniskach, przy których zatrudniano jeńców wojennych. Religią rasy tej, potężnej dzięki jej odporności fizycznej, sile namiętności i zdolności przywiązywania się, było panowanie siły oparte na strachu. W świadomości tych ludów dziecięco naiwnych występowała Natura i Bóg nie inaczej, jak w postaci smoka, straszliwego zwierzęcia przedpotopowego, którego obraz malować sobie kazali królowie na swoich sztandarach i którego kształt wycinali kapłani na wrotach swoich świątyń.

O ile w palących promieniach słońca Afryki zrodziła się rasa czarna, rzecz można, iż lody bieguna północnego zrodziły rasę białą. Byli to owi Hiperborejczycy, o których mówi mitologia grecka. Ci ludzie rudowłosi, niebieskoocy, przedarli się z Północy przez gęste lasy oświetlone zorzą północną; towarzyszyły im psy i reny, a przewodzili im mężni wodzowie, kierowani przez niewiasty jasnowidzące. Złoto ich włosów i lazur ich oczu harmonijny tworzył zespół barw, wyróżniający tę rasę, przeznaczoną jak gdyby do stworzenia kultu słońca i ognia świętego, i przyniesienia światu tęsknoty za niebem.

Przyjdzie taki okres, w którym burzyć się ona będzie przed nim i zapagnie wdrzeć się doń, to znów kryć się będzie przed jego wspaniałością w zachwycie bezgranicznym.

Podobnie jak inne, i rasa biała musiała wyzwolić się ze stanu dzikości, zanim budzić się w niej zaczęły pierwsze przebłytki samowiedzy. Wybitną jej cechą jest umiłowanie swobody jednostki, wrażliwość refleksyjna, stwarzająca zdolność współodczuwania oraz przewaga intelektu, nadająca wyobraźni kierunek idealistyczny i symboliczny. Wrażliwość uczuciowa

wytworzyła przywiązanie, wyróżnianie przez mężczyznę jednej kobiety, stąd skłonność tej rasy do monogamii, zasada życia małżeńskiego i rodzinnego. Wyobraźnia dążąca do ideałów stworzyła kult przodków, który stanowi podstawę i jądro religii narodów białych.

Pierwiastek społeczny i polityczny ujawnił się w dniu, w którym pewna liczba ludzi na wpół dzikich, zagrożonych przez szczerp wrogi, zgromadziła się, wiedzona instynktem, i wybrała najsilniejszego i najrozumniejszego z pośród siebie, aby bronił ich i przewodził nad nimi. Dzień ten był dniem narodzin społeczeństwa. Wódz jest przyszłym królem, jego towarzysze – przyszłą szlachtą; starcy obradujący, lecz niezdolni do marszów wytężonych, tworzą już rodzaj senatu lub rady starszych. W jaki sposób powstała religia? Utrzymywano, że zrodził ją lęk człowieka pierwotnego wobec zjawisk przyrody. Lęk wszakże nic nie ma wspólnego z szacunkiem i miłością. Nie wiąże on faktu z ideą, rzeczy widomej z Nieznanym, człowieka z Bogiem. Dopóki człowiek drżał przed naturą, nie był jeszcze człowiekiem. Stał się nim w dniu, w którym uświadomił sobie związek, łączący go z przeszłością i przyszłością, z czymś wyższym i dobroczynnym, w dniu, w którym zbudziło się w nim uwielbienie dla tajemniczego tego nieznanego. W jaki jednak sposób objawiło się to uwielbienie po raz pierwszy?

Fabre d'Olivet kreśli genialnie pomyślaną, przekonywującą hipotezę w sprawie sposobu, w jaki kult przodków miał powstać u rasy białej.

W kłanie wojowniczym wybuchło starcie pomiędzy dwoma współzawodniczącymi wojownikami. Rozwścieczeni chcą wstąpić w bój i już stają naprzeciw siebie. W tej samej chwili niewiasta jakaś z włosom rozwianym rzuca się pomiędzy nich i rozdziela ich. To siostra jednego, zarazem żona drugiego. Oczy jej ciskają płomienie, głos jej nabrał brzmienia rozkazu. Woła głosem zadyszczanym, urywanym, że widziała w lesie Przodka rasy, zwycięskiego ongi wojownika, który nagle ukazał się jej. Nie chce on, aby dwaj bracia walczyli ze sobą wzajemnie, lecz

żąda, aby się połączyli przeciwko wspólnemu wrogowi. „cień wielkiego Przodka, cień bohatera oznajmił mi to”, woła kobieta w uniesieniu – „przemówił do mnie! Widziałam go!”. Mówi z głębokim przeświadczeniem, że było tak istotnie, jak powiedziała. Przekonana przekonuje. Wzruszeni, zdumieni, jak gdyby zdruzgotani siłą niezmówną, pojednani już przeciwnicy podają sobie dłonie i patrzą na kobietę natchnioną jak na rodzaj bóstwa.

Natchnienia podobne, po których następowały nagłe, gwałtowne zmiany ustrojów, musiały występować często i pod różnymi postaciami w życiu przedhistorycznym rasy białej. U ludów barbarzyńskich kobieta jest pierwszą, która dzięki swej wrażliwości nerwowej przeczuwa siły tajemne, stwierdza objawienie się światów niewidzialnych. Uprzytomnijmy sobie teraz wyniki nieoczekiwane i zdumiewające podobnego wydarzenia.

Cała ludność klanu poruszona jest nadzwyczajnym tym faktem, mówi o wydarzeniu cudownym. Dąb, pod którym natchniona niewiasta ujrzała zjawę, staje się drzewem świętym. Prowadzą ją na to miejsce: i tu pod czarodziejskim, magnetycznym wpływem księżyca, wprowadzającym ją w stan jasnowidzenia, przemawia w dalszym ciągu głosem proroczym w imieniu wielkiego Przodka. Niebawem niewiasta owa i inne jej podobne, stojąc na skałach, czy pośród polan leśnych, przy wtórze wiatru i ryku dalekiego Oceanu, wyczarowuje mgliste zjawy przodków wobec zdjętych dreszczem trwogi tłumów. I tłumy te, porwane zapałem i ekstazą niewiasty zobaczą te zjawy lub uwierzą, że je widzą, pociągnięte czarem, zaklętym w mgły lotne, unoszące się nad łąkami i osrebrzone blaskami księżycowymi. Ostatni z wielkich Celtów, Ossjan, wywoła z mgieł tych ducha Fingala i jego towarzyszy. W ten sposób w samych już zaczątkach życia społecznego rodzi się kult przodków u ludzi rasy białej. Wielki Przodek staje się Bogiem plemienia. I oto mamy już początek religii.

Ale to jeszcze nie wszystko. Dokoła prorokini gromadzą się

starcy, którzy przypatrują się jej w chwilach snów na jawie, w momentach natchnień jej wieszczych. Badają oni jej stany zmienne, kontrolują jej objawienia, wyjaśniają jej słowa prorocze. Spostrzegają, że w chwilach natchnień wieszczych, w stanie jasnowidzenia, twarz jej przeobraża się, mowa staje się rytmiczną, a głos podniesiony wypowiada proroctwa śpiewnie, melodią poważną i dźwięcznie w ucho wpadającą. Stąd wiersz, strofa, poezja i muzyka, której źródło uważane jest za boskie przez wszystkie ludy aryjskie. Pojęcie objawienia nie mogło powstać na innej drodze, jak tylko w łączności z faktami podobnego rodzaju. Zarazem też wytryska z nich poczucie religijne, potrzeba kultu, kapłanów i poezji.

W Azji, w Iranie i w Indiach, gdzie ludy białe zapoczątkowały pierwsze cywilizacje aryjskie, połączywszy się z ludami barwy odmiennej, mężczyźni rychło wzięli górę nad kobietami w zakresie natchnień religijnych. Mowa tam jest już tylko o mędrcach, o rishi, o prorokach. Kobieta odsunięta, podległa, jest już kapłanką tylko przy ognisku domowemu. W Europie natomiast odnajdujemy ślady górującej roli kobiety u ludów tego samego pochodzenia, pozostających w stanie barbarzyńskim w ciągu tysiącleci. Uwydatniają się one w Pythonissie, wróżbiarce skandynawskiej, w Voluspie Eddy, w druidyjskich kapłankach celtyckich, we wróżbitkach towarzyszącym armiom germańskim i rozstrzygającym o dniach wydawania bitew, i wreszcie w Bachantkach tracejskich, o których mowa jest w legendzie o Orfeuszu. Wieszczbiarka przedhistoryczna odradza się w Pytii Delfijskiej.

Prorokinie pierwotne rasy białej tworzyły zgromadzenia druidek pod dozorem starców uczonych, czyli druidów, ludzi spod dębu. Zrazu był wpływ ich prawdziwie dobroczynny. Intuicją swoją, boskim swoim natchnieniem, zapałem nadawały one olbrzymi rozpęd duchowy rasie, która stała zaledwie u progu wielowiekowej walki swojej z rasą czarną. Rychło jednak uległa instytucja druidek rozprężeniu. Nieuniknionymi stały się wówczas ogromne nadużycia. Czując się paniami losów rodzimych

szczepów, zapragnęły druidki utrwalić to panowanie, za wszelką cenę. Nie mogąc stale liczyć na natchnienie, próbowały w braku jego panować grozą. Żądały ofiar w ludziach i uczyniły a nich pierwiastek podstawowy swojego kultu. Instynkty bohaterskie ich rasy wielce były im w tym względzie pomocne. Białych cechowało męstwo i ich wojownicy lekceważyli śmierć, na pierwsze wezwanie zjawili się sami i z zapałem junackim rzucali się pod nóż krwawych kapłanek. Żywych wysyłano w poselstwie do zmarłych, aby tą drogą zyskać łaski przodków. Ta groźba nieustannie zawieszona nad głowami pierwotnych wojowników i spadająca w postaci wyroków głoszonych ustami proroków i druidek, stała się w ich rękach potężnym narzędziem władzy.

Mamy tu pierwszy przykład wypaczenia, jakiemu z konieczności ulegają najszlachetniejsze porywy natury ludzkiej, gdy nie miarkuje ich władza rozumna, mająca dobro jedynie na względzie i zdążająca ku niemu, pod wpływem wyższego uświadomienia. Wydane na łup ambicji i namiętności osobniczych, przeistacza się natchnienie w przesadę, męstwo staje się okrucieństwem, wzniosła idea ofiary – narzędziem tyranii, wyzyskiem podstępny i okrutny.

Były to jednak pierwsze dopiero zaczątki, gwałtowne i nieobliczalne w swym szale dzieciństwo rasy białej. Pełna zapału w dziedzinie duchowej, wystawiona ona być miała na wiele innych, bardziej jeszcze krwawych przełomów. Zbudziły ją do czynu pierwsze napaści rasy czarnej, która zaczynała zagarniać ją od południa Europy. Walka była z początku nierówna. Biali, na wpół dzicy, wychodzący ze swoich lasów lub mieszkań nawodnych, mieli za jedyną broń łuki, dzidy i strzały o ostrzach kamiennych. Czarni uzbrojeni byli w broń żelazną, w rynsztunek spiżowy, posiadali wszystkie środki walki, jakich im dostarczyła ich cywilizacja pomysłowa i cyklopiczne ich grody. Zmiażdżeni w pierwszym starciu, uprowadzeni zostali Biali w niewolę Czarnych, którzy zmusili ich do rozbijania i obrabiania kamieni oraz do topienia metali w wielkich ich

paleniskach. Rychło wszakże zaczęli ratujący się ucieczką zbiegowie wprowadzać do ojczyzny swojej obyczaje, sztuki, rzemiosła, a także okruchy wiedzy zwycięzców. Biali nauczyli się od Czarnych dwóch rzeczy zasadniczych: topienia metali i świętego pisma, to znaczy sztuki utrwalania myśli swoich za pomocą tajemniczych znaczków hieroglificznych rysowanych na skórach zwierząt, na kamieniach lub też na korze jesionów, – co dało początek runom celtyckim. Metal stopiony i przekuty dawał broń wojenną; święte pismo było zaczątkiem nauki i tradycji religijnej. Walka rasy białej z czarną toczyła się ze zmiennym szczęściem w ciągu długich wieków od Pirenejów do Kaukazu i od Kaukazu do Himalajów. Zbawieniem Białych były ich lasy, gdzie jak dzikie zwierzęta mogli kryć się, aby wypadać z nich w chwili odpowiedniej. Ośmieleni, zahartowani w bojach, coraz lepiej zbrojni ze stulecia na stulecie, osiągnęli wreszcie odwet: zburzyli miasta Czarnych, wypędzili ich z wybrzeży europejskich i zajęli z kolei całą północ Afryki oraz środek Azji, zaludniony przez szczepy rasy czarnej.

Zmieszanie obu ras dokonane zostało dwojakim sposobem: bądź drogą pokojowej kolonizacji, bądź – podboju wojennego. Fabre d'Olivet, cudownie wskrzeszający obraz przedhistorycznej przeszłości świata, niezmiernie jasny rozwija pogląd na powstanie narodów zwanych semickimi i narodów zwanych aryjskimi, przy czym punkt wyjścia jego jest następujący: Tam, gdzie biali osadnicy poddali się dobrowolnie narodom czarnym i podporządkowali się im, przyjmując z rąk ich kapłanów wtajemniczenie religijne, utworzyć się miały ludy semickie, jak: Egipcjanie sprzed Menesa, Arabowie, Fenicjanie, Chaldejczycy i Żydzi. Cywilizacje aryjskie natomiast powstać miały tam, gdzie Biali panowali nad Czarnymi dzięki zwycięstwu czy podbojowi; takim np. miało być pochodzenie Irańczyków, Hindusów, Greków i Etrusków. Dodajmy, że tą nazwą narodów aryjskich obejmujemy też narody białe, które pozostały w starożytności w stanie barbarzyńskim i koczowniczym, jak np.: Scytów, Sarmatów, Celtów, a w następstwie Germanów. Tłumaczyłaby się tam zasadnicza różnorodność religii i pisma

tych dwu wielkich kategorii narodów. U Semitów, na których pierwotnie wpływ przeważający wywierała umysłowość rasy czarnej, zauważyć się daje – ponad powszechnym bałwochwalstwem – dążenie do monoteizmu, – bowiem ukryta doktryna jedności Boga nieosobowego i bezwzględnej była jedną z głównych zasad wiary kapłanów rasy czarnej oraz ich wtajemniczania. U Białych, którzy bądź jako zwycięzcy bądź z innych powodów pozostali czysti, spostrzegać się daje, przeciwnie, dążenie do wielobóstwa, do mitologii, do personifikacji bóstwa, co wypływało z ich umiłowania natury i z ich namiętnego kultu przodków.

Na tej samej drodze wytłumaczyć się też daje zasadnicza różnica pomiędzy pismem Semitów i Aryjczyków. Dlaczego wszystkie narody semickie piszą idąc od ręki prawej ku lewej, a ludy aryjskie – od lewej do prawej? Fabre wyjaśnia to w sposób zarazem ciekawy i oryginalny. Wyjaśnienie jego daje nam istną wizję zaginionej tej przeszłości.

Wiadomo powszechnie, że w czasach przedhistorycznych nie istniało zwykłe pismo. Sztuka pisania polegała na oddawaniu znakami dźwięków wyrazów. Pismo hieroglificzne, czyli sztuka przedstawiania rzeczy różnymi znakami, sięga najpierwszych zaczątków cywilizacji. W owych czasach pierwotnych była ona przywilejem kapłanów, uważana była za coś świętego, jako obrządek religijny, a pierwotnie nawet jako wyraz natchnienia boskiego. Kiedy na południowej półkuli kapłani rasy czarnej, czyli sudańskiej, kreślili na skórach zwierzęcych lub też na płytach kamiennych swoje znaki tajemnicze, zwracali przy tym zazwyczaj twarz ku biegunowi południowemu; ręka ich skierowana była ku Wschodowi, źródłu światła, dlatego pisać musieli od strony prawej do lewej. Kapłani rasy białej, czyli północnej, nauczyli się pisma od kapłanów czarnych i pierwotnie pisać zaczęli w ten sam sposób jak oni. W miarę jednak, jak budzić i rozwijać się w nich zaczęło poczucie odmienności pochodzenia, świadomość narodowa i ambicja czyli duma rasowa, wymyślać zaczęli własne znaki i, zamiast zwracania się w stronę

Południa, ku krainie Czarnych, zwracali się ku Północy, ku krajowi Przodków i pisali w stronę Wschodu, – wskutek czego zaczęli stawiać znaki od strony lewej ku prawej. Tym tłumaczy się kierunek runów celtyckich, znaków zendu czyli języka starożytnych Persów, sanskrytu, języka greckiego, łaciny i wszystkich w ogóle pism ras aryjskich. Biegną one w kierunku Słońca, ojczyźnie Przodków i tajemnemu źródłu jutrzni niebiańskich.

Prąd semicki i prąd aryjski stanowią dwa strumienie, którymi szły do nas wszystkie nasze światopoglądy, mitologie nasze i religie, sztuki, nauki i doktryny filozoficzne. Każdy z tych prądów przynosi ze sobą odmienny światopogląd, a ujednostajnienie tych pojęć odmiennych i ich pojednanie dałoby prawdę właściwą. Prąd semicki obejmuje zasady bezwzględne i wyższe; pojęcie jedności i powszechności w imię idei kierowniczej, która w zastosowaniu swoim prowadzi do zjednoczenia całego rodu ludzkiego. Prąd aryjski mieści w sobie ideę rozwoju, idącego wzwyż poprzez wszystkie królestwa ziemskie i pozaziemskie, i prowadzi, w zastosowaniu swoim, do nieskończonej różnorodności rozwoju w imię nieprzebranego bogactwa natury i wielorakich dążeń duszy. Geniusz semicki zstępuje od Boga do człowieka; geniusz aryjski wznosi się od człowieka do Boga. Symbolem pierwszego jest archanioł, wymierzający sprawiedliwość i zstępujący na ziemię, zbrojny w miecz i piorun; drugiego – Prometeusz, dzierżący w dłoni ogień porwany z niebios i hardo mierzący wzrokiem Olimp.

My dzisiaj nosimy w sobie oba te geniusze. Myślimy i działamy z kolei pod wpływem jednego i drugiego. Są one jednak splątane bezładnie, a nie zlane w jedną całość w naszej umysłowości. Przeciwstawiają się nawzajem sobie i zwalczają w naszym poczuciu wewnętrznym i w naszym myśleniu nieuchwytnym tak samo, jak w naszym życiu społecznym i w naszych urzędach publicznych.

Utajone pod różnymi postaciami, które można by sprowadzić do dwu mianowników ogólnych: spirytualizmu i naturalizmu, nadają

one kierunek naszym dyskusjom i walkom naszym. Niezwalczone są oba i nie dają się pogodzić ze sobą nawzajem. Któż je złączy? A jednak od ich pojednania, od zlania się ich w jedną syntezę zależy postęp i zbawienie ludzkości. Dlatego też w pracy niniejszej chcielibyśmy dotrzeć do źródła obu prądów, do narodzin dwu geniuszów. Poprzez walki dziejowe, wojny kultów, sprzeczności tekstów świętych przenikniemy w głąb sumień twórców ich i proroków, którzy nadali religiom kierunek pierwotny. Posiedli oni zarazem intuicję wieszczą i natchnienie, przychodzące z góry, żywe światło, rodzące czyn płodny. Synteza istniała w nich, tkwiła w ich duszach od początku. Promień boski zbladł i ściemnił się w ich następcach; wybłyskuje on jednak ponownie, ilekroć w danym momencie dziejowym prorok jakiś, bohater, czy jasnowidzący wznieść się zdoła do samego źródła jasności. Bowiem cel dostrzec można tylko z punktu ośrodkowego; ze słońca promieniującego – bieg planet. Taki przebieg mają dzieje objawienia. Jest ono stałe, stopniowe, wielopostaciowe jak natura, – ale płynące z jednego źródła, jedyne, jak jedyną jest prawda, stałe i niewzruszone jak Bóg.

Idąc wstecz drogą prądu semickiego, dochodzimy z Mojżeszem do Egiptu, którego świątynie miały – podług Menethona – tradycję trzydziestu tysięcy lat. Idąc wstecz drogą prądu aryjskiego, dochodzimy do Indii, gdzie rozwinęła się pierwsza wielka cywilizacja, jako wynik podboju, dokonanego przez rasę białą. Indie i Egipt były dwiema wielkimi macierzami religii. Posiadały one tajemnicę wielkiego wtajemniczenia. Wejdziemy do ich świętych przybytków.

Tradycje ich wszakże prowadzą nas jeszcze dalej, do epoki odleglejszej, w której dwa geniusze, rozpatrywane przez nas, zjednoczone są w pierwotnej swojej niewinności i cudownie ze sobą zharmonizowane. Jest to pierwotna epoka aryjska. Wspaniałe prace nauki współczesnej, zdobycze filologii, mitologii i etnologii porównawczej dają nam obecnie możliwość uchylenia zasłony, kryjącej tę epokę tak odległą. Zarysowuje

się ona z prostotą iście patriarchalną i wspaniałą czystością linii poprzez hymny wedyjskie, które stałym są zaledwie jej odbiciem. Jest to wspaniały okres męskości, nie przypominający w niczym złotego okresu dzieciństwa, o którym śnią poeci.

Nie brak w nim bólu i walki, jest jednak w ludziach ufność, siła i pogoda ducha, których ludzkość nigdy już później nie odzyskała.

W Indiach myśl pogłębi się, a uczucia ulegną wysubtelnieniu. W Grecji uczucia i myśli spowinięte zostaną w urok sztuki, przyodzieją się w czarowną szatę piękna. Nie istnieje jednak poezja szczytniejsza od niektórych hymnów wedyjskich, przewyższająca je wzniosłością moralną i głębią myśli. Jest w nich poczucie boskości natury, świata niewidzialnego, który ją otacza i wielkiej jedności, przenikającej całość.

W jaki sposób zrodzić się mogła kultura podobna? Jak mogła rozwinąć się umysłowość taka pośród zażartych wojen, jakie wiodły ze sobą rasy, oraz ciągłej walki z naturą? Na tym miejscu zatrzymują się dociekania i domysły nauki współczesnej. Głębiej jednak docierają tradycje religijne narodów, pojmowane w ich znaczeniu ezoterycznym. Pozwalają nam one przypuszczać, że pierwsze skupienie jądra aryjskiego w Iranie wytworzyło się dzięki pewnego rodzaju doborowi, dokonanemu w samym łonie rasy białej pod przewodnictwem zwycięskiego jakiegoś prawodawcy, który dał ludowi swojemu religię i prawa zgodne z geniuszem rasy białej. Księga święta Persów, „Zend-Avesta”, mówi w istocie o starożytnym takim prawodawcy, nazywając go imieniem Yimy. Zoroaster, tworząc nową religię, podobnie jak Chrystus powołuje się na Mojżesza. – Poeta perski, Firdusi, nazywa tego samego prawodawcę: Diem, zwycięzca Czarnych. – W epoce hinduskiej, w „Ramayanie”, zjawia się on pod nazwą: Rama i w szacie króla indyjskiego, otoczonego wspaniałością wysoko rozwiniętej kultury; zachowuje on tu jednak podwójną swoją cechę: zdobywcy-odnowiciela i zarazem wtajemniczonego. – W tradycjach egipskich epoka Ramy określona jest jako epoka panowania Ozyrysa, pana światła,

poprzednika Izydy, królowej tajników.

W Grecji wreszcie, starożytny bohater, pół-bóg, czczony był pod mianem Dionizosa, pochodzącym z sanskryckiego „Deva Nahusha”, boski odnowiciel, a poeta Nonnus opiewał podbój Indii przez Dionizosa zgodnie z tradycjami elezyńskimi. Wszystkie tradycje te, jak promienie jednego i tego samego koła wskazują na jeden punkt środkowy wspólny. Idąc w ich kierunku, można dotrzeć do niego. Wówczas, poprzez Indie Wedów, przez Iran Zoroastra, w pierwszym szarym brzasku rasy białej, dostrzeżemy wychodzącego z gęstwin leśnych dawnej Scytii pierwszego twórcę religii aryjskiej, promieniującego podwójną glorią zwycięzcy i wtajemniczonego, niosącego w dłoni ogień tajemny, ogień święty, który oświeci wszystkie rasy.

Słowa odnalezienia tej osobistości należy się Fabrowi d'Olivet; utworował on drogę świetlaną, która do niej prowadzi. Idąc też śladem przez niego wytkniętym, będę usiłował i ja z kolei ją odtworzyć.

II. POSŁANNICTWO RAMY

Na cztery czy pięć tysięcy lat przed naszą erą gęste lasy pokrywały jeszcze dawną Scytie, ciągnącą się od Oceanu Atlantyckiego aż do mórz podbiegunowych. Czarni, którzy byli świadkami narodzin tego lądu, wyspa po wyspie nazwali go „ziemią wyłonią z fal”. Jakież przeciwieństwo z ich ziemią białą spaloną od słońca, stanowiła ta Europa o zielonych wybrzeżach, o zatokach wilgotnych, głęboko wrzynających się w ląd, o sennych rzekach, ciemnych toniach jezior, o smugach mgieł, snujących się wiecznie po zboczach gór! Na porośłych trawą, nieuprawnych, rozległych jak pampasy płaszczynach nie słychać było nic poza wyciem dzikich bestii, rykiem bawołów i ogłuszającym galopem stadnin dzikich koni, pędzących z rozwianymi na wietrze grzywami. Człowiek biały, zamieszkujący te lasy, nie był już jaskiniowcem. Mógł już uważać się za pana tej ziemi. Wymyślił już noże i topory z krzemianem, umiał sporządzić łuki i strzały, proce i sidła, i znalazł dwóch

towarzyszy walki, dwóch przyjaciół doskonałych na śmierć i życie: psa i konia. Pies domowy, który stał się wiernym, czujnym stróżem jego chaty sklecone z drzewa, zapewnił mu bezpieczeństwo domowego ogniska. Dzięki poskromieniu konia, zdobył on ziemię, poddał władzy swej inne zwierzęta, stał się królem obszarów. Na grzbietach płowych rumaków pędzili i wirowali rudowłosi olbrzymi lotem błyskawicy. Zabijali niedźwiedzia, wilka, żubra, rzucali postrach na panterę i lwa, które w owej epoce zamieszkiwały nasze lasy.

Cywilizacja rozpoczęła swój pochod: zaczątki rodziny, klan, plemię – istniały już. Scytowie, synowie Hiperborejczyków, wznosili już wszędzie na cześć przodków swoich potworne menhiry.

Po śmierci wodza grzebano wraz z nim jego zbroję i konia, aby mógł – jak mówiono – dosiadłszy go, zwalczyć ognistego smoka na tamtym świecie. Stąd zwyczaj składania ofiary z konia, odgrywający tak wielką rolę u Wedów i Skandynawów. Religia rozpoczynała się więc od kultu przodków.

Semici odnaleźli jedyne Boga, ducha wszechświata w pustyni, na szczycie gór, w bezmiarze gwiazdnych przestrzeni. Scytowie i Celtowie znajdowali Bogów swoich, duchy wielorakie, duchy w gąszczach lasów rodzinnych. Tam słyszeli głosy, tam przenikały ich po raz pierwszy dreszcze Niewidzialnego, wizje Zaświatów. Dlatego też las zachwycający czy groźny drogim pozostał rasie białej. Pociągana melodią liści i czarem światła księżycowego, powraca ona do niego wciąż w biegu wieków, jako do źródła Młodości, do świątyni pramacierzy Herty. Uśpione są w nim jej bóstwa, jej ukochania, jej utracone tajniki.

Od najdawniejszych czasów przepowiadały jasnowidzące niewiasty przyszłość, stojąc pod drzewami. Każdy szczep miał swoją wielką prorokinię, jak Woluspa Skandynawów z całym orszakiem druidek. Kobiety te jednak, zrazu wzniośle natchnione, stały się ambitnymi i okrutnymi. Dobre prorokinie przeistoczyły się w złe czarownice. Ustanowiły one ofiary z ludzi i krew

poświęcanych zraszała nieustannie grobowce druidów, przy akompaniamencie ponurego śpiewu kapłanów i radosnych okrzyków okrutnych Scytów. Młodzieniec pewien, imieniem Ram, sposobił się również do kapłaństwa, skupiona jednak dusza jego i głęboki umysł wzdrygały się przed krwawym tym kultem.

Młody druid łagodny był i poważny. Od wczesnego dzieciństwa okazywał już skłonności szczególne do poznawania roślin, ich cudownych własności; umiał wyciskać i przyrządzać soki z nich; bardzo zajmowało go również badanie gwiazd i ich wpływu. Zdawał się odgadywać, widzieć rzeczy dalekie. Stąd od lat najmłodszych wielkie uznanie dla niego najstarszych nawet druidów. Słowa jego, cała jego postać tchnęły dobrotliwą jakąś wielkością. Jego spokój mędrca zupełnie był przeciwstawieniem opętania druidek, głosicielek klątw, rzucanych przez nie w ponurych wyroczniach, w konwulsjach szału. Druidzi nazwali go „tym, który wie”, a lud dał mu miano „natchnionego pokojem”.

W poszukiwaniu nauki boskiej wędrował Ram po całej Scytii i po krajach południowych. Kapłani Czarnych, pociągnięci ogromem jego wiedzy, a zarazem jego skromnością, udzielili mu część swoich tajników. Po powrocie do kraju Północy przerażony był Ram nadzwyczajnym wzmożeniem się kultu ofiar ludzkich, w którym widział zgubę swojej rasy. Jaką jednakże drogą zwalczyć ten zwyczaj, mający źródło w dumie druidek, szerzony przez ambitnych druidów i podtrzymywany przez lud zabobonny? W owym czasie inna spadła na Białych klęska, w której dopatrywał się Ram kary niebios za kult świętokradzki. Z wycieczek swoich do krain Południa i stykania się z Czarnymi zawlekli Biali do kraju swego straszliwą chorobę, rodzaj dżumy. Zakażała ona krew ludzi, główne źródło życia. Plamy czarne występowały na całym ciele, oddech stawał się cuchnącym, nabrzmiące i pokryte wrzodami członki zniekształcały się i chory umierał wśród najsroższych męczarni. Oddech żywych i odór zmarłych szerzyły zarazę. Przerażeni Biali padali i konali tysiącami w swoich lasach, opustoszonych nawet przez ptactwo drapieżne. Ciężko strapiony Ram szukał na próżno drogi ratunku.

Zwykł był on oddawać się rozmyślaniom pod dębem stojącym na polanie leśnej. Pewnego wieczora, po wielogodzinnym rozmyślaniu o nieszczęściach swojej rasy, usnął pod swoim ulubionym drzewem. We śnie zdawało mu się, że ktoś woła go po imieniu i że się obudził. W chwili tej ujrzał przed sobą postać olbrzymią, odzianą, jak on sam, w białą szatę druida. W ręku trzymała ona laseczkę, dokoła której owijał się wąż. Zdziwiony Ram chciał zapytać nieznajomego o znaczeniu laseczki, gdy wtem zjawa ujęła go za rękę, kazała mu powstać i wskazała mu na drzewie, pod którym był uśpiony, prześliczną gałąź jemioły. „Ramie! – rzekła zjawa – oto lek, którego szukasz!” Mówiąc to, wyciągnęła z łona swego mały złoty nożyk ogrodniczy, ścięła nim gałąź i dała mu ją, po czym, szepnąwszy kilka słów o sposobie przygotowania jemioły, znikła.

Wówczas Ram zbudził się na dobre, czując się znacznie pokrzepionym na duchu. Głos wewnętrzny mówił mu, że znalazł zbawienie. Bezzwłocznie zajął się przygotowaniem jemioły wedle wskazówek boskiego swego przyjaciela. Gdy napój był gotów, rozpuścił go w płynie sfermentowanym i dał go do wypicia jednemu z chorych, który od razu ozdrowiał. Cudowne kuracje, których dokonał, okryły go sławą w całej Scytii. Wzywano go wszędzie, aby uzdrawiał. Gdy druidzi jego szczepu zapytali go o skład leku, wyjawiał im swoją tajemnicę, zaznaczając wszakże, że musi ona pozostać wyłączną własnością kasty kapłańskiej, aby nie pozbawić jej autorytetu. Uczniowie Rama, którzy obchodzili całą Scytie z gałązkami jemioły, uważani byli wszędzie za wysłańców boskich, a mistrz ich za pół-boga.

Wydarzenie to stało się źródłem nowego kultu. Jemioła uważana była odtąd za roślinę uświęconą. Na jej pamiątkę ustanowił Ram święto Kolędy, czyli nowego zbawienia, które obchodzono na początku roku i które nazwał Nocą Macierzystą (matka nowego słońca) czyli wielkim odnowieniem. Co się tyczy owej istoty tajemniczej, którą Ram ujrzał we śnie i która pokazała mu jemiołę, nosi ona w tradycji ezoterycznej Białych europejskich nazwę „Aesc-heył-hopa”, co oznacza: „nadzieja zbawienia jest w

lesie". Grecy zrobili z niej Eskulapa, geniusza medycyny, trzymającego w ręku różdżkę czarnoksięską w postaci laski bożka, dokoła której owija się wąż.

„Natchniony pokojem” Ram miał jednak szersze cele na względzie. Chciał on uleczyć naród swój z choroby moralnej, gotującej mu sroższą jeszcze klęskę niż dżuma. Z chwilą, gdy obrany został naczelnym druidem swojego szczepu, nakazał wszystkim druidom i druidkom, aby położyli kres przynoszeniu ofiar z ludzi.

Nowina ta rychło obiegła wszystkie ziemie aż do oceanu, witana wybuchami radości przez jednych, wywołująca, jako zamach bluźnierczy, oburzenie innych. Druidki, czując, że władza ich jest zagrożona, najokropniejsze rzucały klątwy na śmiałka, głosiły na niego wyroki śmierci. Wielu druidów widząc w mordach ofiarnych jedyny sposób utrzymania się przy władzy, stanęło po ich stronie. Ram, ubóstwiany przez jednych, nienawidzony był przez innych. Nie tylko jednak nie cofnął się przed walką, ale zaostrzył ją przyjęciem nowego symbolu. Każdy szczep biały posługiwał się wówczas znakiem umówionym w postaci zwierzęcia, symbolizującego jego ulubione cechy. Jedni wodzowie wyrzynali na drzwiach drewnianych swoich domostw podobizny żurawi, inni – orłów lub sępów, jeszcze inni głowy dzików lub bawołów. Były to pierwsze zaczątki późniejszych herbów. Ulubionym symbolem, malowanym przez Scytów na ich chorągwiach był Byk, którego nazwali Thor, znak siły brutalnej przemocy. Ram przeciwstawił Bykowi – Barana, odważnego, ale pokojowo usposobionego wodza stada, obrał go za znak umówiony, wyróżniający wszystkich swoich stronników. Sztandar ten, zatknięty w pośrodku Scytii, stał się hasłem do wielkich zamieszek, spowodował istną rewolucję w umysłach. Narody białe rozdzieliły się na dwa obozy. Przełom nastąpił w głębi duszy Białych, którzy zrobili pierwszy krok na drodze wyzwolenia się ze zwierzęcej brutalności i wzniesienia się ku niewidzialnemu sanktuarium, wiodącemu do boskiej ludzkości. „Śmierć Baranowi!” wołali stronnicy Byka. „Na bój z Bykiem!” głosili

przyjaciele Rama. Nieuniknioną stała się walka potężna.

Wobec podobnego stanu rzeczy zawahał się Ram. Czyż rozpętanie walki takiej nie było pogorszeniem zła i skazaniem rasy swojej na zagładę w wojnie bratobójczej? W tym momencie miał on ponowne widzenie.

Ciężkie, ciemne chmury zasnuły cały strop nieba. Słały się po zboczach gór i w pędzie czepiały się miotanych wichrem wierzchołków drzew. Stojąca na skale postać niewieścia z włosem rozwichrzonym już ramię podniosła, aby zadać cios śmiertelnikowi, związanemu u jej stóp. „W imię przodków, wstrzymaj się! krzyknął Rama, rzucając się na kobietę. Druidka groźnie spojrzała na przeciwnika, topiąc w nim wzrok od sztyletu ostrzejszy. Wtem ryknął grzmot potężny i w błysku pioruna ukazała się postać olśniewająca. Blask, który bił od niej, rozjaśnił cały las. Kobieta padła jak rażona; pękły więzy, którymi spętany był wojownik, patrzący z błyskiem wyzwania w oczach na postać olbrzyma promiennego. Ram nie czuł jednak lęku, bowiem w rysach widziadła poznał istotę boską, która już raz objawiła mu się pod dębem. Wydała mu się teraz jeszcze piękniejszą; całe ciało jej promieniowało z siebie jasność. I spostrzegł Ram, że znajdował się w otwartej świątyni, otoczonej szeregiem wielkich kolumn.

Na miejscu kamienia ofiarnego wznosił się ołtarz. Przed ołtarzem stał wojownik, którego oczy wciąż jeszcze wyznawały śmierć. Kobieta leżąca na posadzce, wydawała się martwą. Geniusz niebiański dzierżył w prawej dłoni pochodnię, a w lewej – czarę. Uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł: „Ramie, zadowolony jestem z ciebie. Czy widzisz tę pochodnię? To ogień święty Ducha boskiego. Czy widzisz tę czarę? To czara Życia i Miłości. Daj pochodnię mężczyźnie a czarę kobiecie”. Ram uczynił, jak mu nakazał Geniusz. Z chwilą, gdy pochodnia dostała się do rąk mężczyzny, a czara do rąk kobiety, ogień zapłonął na ołtarzu, sam przez się, a oboje oni promienieli przeistoczeni w jego błysku, jako para boskich Oblubieńców. Równocześnie rozszerzyła się świątynia; kolumny sięgały nieba;

sklepienie stało się stropem niebieskim. Wówczas Ram, pogrążony wciąż w śnie swoim wieszczym, ujrzał się na szczycie góry pod niebem gwiaździstym. Stojący przed nim Geniusz jego wyjaśniał mu znaczenie układów gwiazdnych i pozwolił mu odczytywać w płomiennych znakach zodiakałnych losy ludzkości.

„Duchu cudowny, kim jesteś?” – zapytał Ram swego Geniusza. A Geniusz odpowiedział: „Nazywają mnie Dva Nahusha, Rozum boski. Rozsiejesz promień mój na ziemi, a ja przyjdę zawsze na twoje wezwanie. A teraz idź obroną drogą. Tam!” I dłonią wyciągniętą wskazał mu Geniusz Wschód.

III. WYJŚCIE I PODBÓJ

Senne to widzenie otworzyło oczy Ramie, jak gdyby olśnionemu nagłym światłem, na właściwe jego posłannictwo, na olbrzymią doniosłość przeznaczeń białej rasy. Zamiast tedy wzniecania pożogi wojennej pomiędzy szczepami europejskimi, postanowił pociągnąć za sobą wybrańców spośród nich w głąb Azji. Oznajmił więc stronnikom swoim, że ustanawia kult świętego ognia, który uszczęśliwi ludzkość; że składanie ofiar z ludzi na zawsze będzie zniesione; że obrządek wzywania Przodków nie będzie już dokonywany przez okrutne kapłanki na ociekających krwią ludzką dzikich skałach, ale przy każdym ogniu domowemu przez oboje małżonków, złączonym w jednakiej modlitwie, w hymnie uwielbienia, przy ogniu oczyszczającym. Tak, ogień widmowy ołtarza, symbol i wyraziciel niewidzialnego ognia niebios, połączy rodzinę, klan, szczep i wszystkie narody, środowisko Boga żyjącego na ziemi. Aby posiać jednak siejbę taką, oddzielić należało przede wszystkim ziarno od plew; trzeba było, aby wszyscy mężni przygotowali się do opuszczenia Europy dla zdobycia nowej ziemi, ziemi dziewiczej. Tam wyda on swoje prawa; tam ustanowi kult ognia odradzającego.

Myśl jego przyjęta została z zapałem przez lud młody i żądny przygód. Ognie, rozpalone i podsycane w ciągu kilku miesięcy na górach, były hasłem emigracji masowej wszystkich tych, którzy wyruszyć chcieli pod znakiem Barana. Olbrzymia masa

wychodźstwa, pod wodzą wielkiego pasterza narodów, ruszyła zwolna, kierując się ku środkowej Azji. W drodze, wzdłuż Kaukazu, zmuszona była zająć kilka cyklopicznych twierdz, wzniesionych przez Czarnych. Na pamiątkę zwycięstw swoich wycięły kolumny Białych ogromne głowy baranie na skałach Kaukazu.

Ram okazał się godnym szczytnego swojego posłannictwa. Usuwał trudności, przenikał myśli, przewidywał przyszłość, uzdrawiał chorych, uśmierzał bunty, zagrzewał męstwo. Widocznie więc potęgi niebiańskie, nazywane przez nas Opatrznością, chciały panowania rasy północnej na ziemi, gdy za pośrednictwem geniusza Ramy rozświetlały promieniami swoimi jej drogę. Rasa ta miała już swoich wtajemniczonych drugiego stopnia, którzy wyrwali ją ze stanu dzikości. Ram wszakże, w którego społecznego jako wyrazu prawa boskiego, był wtajemniczonym bezpośrednio, wtajemniczonym pierwszego rzędu.

Zaprzyjaźnił się z Turańczykami, dawnymi plemionami scytyjskimi, skrzyżowanymi z rasą żółtą i zamieszkującymi górną Azję i pociągnął ich za sobą na podbój Iranu, z którego całkowicie wyparł Czarnych. Chciał on, aby naród czystej rasy białej zaludnił środek Azji i stał się dla wszystkich innych ogniskiem światła. Założył tu miasto Ver, miasto cudowne, mówi Zoroaster. Nauczył lud swój uprawiania i obsiewania ziemi, był ojcem zboża i łoży winnej. Ustanowił kasty zależnie od rodzaju zajęcia i rozdzielił całą ludność na kapłanów, wojowników, rolników i rzemieślników. Kasty te pierwotnie nie współzawodniczyły ze sobą; przywilej dziedziczenia, odwieczne źródło nienawiści i zawiści, wprowadzony został dopiero później. Zakazał niewolnictwa równie surowo jak morderstwa, utrzymując, że niewolenie człowieka przez człowieka jest źródłem wszystkich nieszczęść. Zachował w zupełności ustrój klanowy, więc pierwotne ugrupowania rasy białej, i pozwolił klanowi wybierać wodzów swoich i swoich sędziów.

Uwieńczeniem dzieła Ramy, głównym narzędziem cywilizacyjnym, przez niego stworzonym, była nowa rola, jaką wyznaczył

kobiecie. Dotychczas mężczyzna znał kobietę w dwojakiej jej postaci: nędznej niewolnicy chaty, którą pomiatał i z którą obchodził się brutalnie, lub też groźnej kapłanki spod dębu i znad skały, o której łaski ubiegał się. Jak czarownica okrutna, opętała go ona i nieograniczoną miała nad nim władzę, gdyż przesądna dusza jego dygotała z lęku przed jej wyrokami. Krwawa ofiara ludzka była odwetem ze strony kobiety topiącej nóż w sercu swojego tyrana. Przez zniesienie tego kultu straszliwego i podniesienie kobiety wobec mężczyzny do boskiej godności małżonki i matki, Ram uczynił z niej kapłankę domowego ogniska, strażniczkę ognia świętego, równą małżonkowi, wzywającą wraz z nim ducha Przodków.

Jak wszyscy wielcy prawodawcy, Ram rozbudził jedynie i rozwinął podniosłe instynkty swojej rasy. Celem urozmaicenia i upiększenia życia ustanowił cztery wielkie święta doroczne. Pierwszym było święto wiosny czyli rodzaju. Poświęcone było miłości małżonka i małżonki. Święto lata, czyli zbiorów, należało do synów i córek, którzy darzyli rodziców plonami swojej pracy. Święto jesieni sławiło ojców i matki, którzy dawali dzieciom owoce na znak uciechy. Najuroczystszym i najbardziej mistycznym było święto Narodzin, czyli wielkiego posiewu. Ram poświęcił je zarazem noworodkom, owocom miłości poczętym na wiosnę i duszom zmarłych, czyli Przodków. Uroczystość ta religijna, jako łącznik między widzialnym a niewidzialnym, była zarazem pożegnaniem dusz, które uleciały, i mistycznym pozdrowieniem tych, które wstępowały ponownie w łona matek, aby odrodzić się w ich dzieciach. W tę noc świętą zbierali się dawni Ariowie w świętych przybytkach Airyana-Vaeia, jak to czynili ongi w swoich lasach. Rozniecaniem ogni i śpiewami święcili początek roku ziemskiego i słonecznego, kiełkowania w łonie ziemi, życia płodnego w samym sercu zimy, dreszcz życia w głębi śmierci. Opiewali zlanie się w uścisku nieba i ziemi, i zwycięskie poczęcie nowego słońca przez wielką Macierz-Noc.

Ram wiązał w ten sposób życie ludzkie z cyklem pór roku, z

przeistoczeniami astronomicznymi, uwydatniając tym samym boskie jego znaczenie. Za ustanowienie płodnych tych w wyniku urządzeń nazywa go Zoroaster „wodzem narodów, wielokroć szczęsnym monarchą”. Z tego też samego powodu poeta hinduski Valmiki, przenoszący starożytnego bohatera do epoki znacznie późniejszej i wkładający go w ramy kultury dużo bardziej posuniętej, nie odejmuje mu jednak cech wysokiego ideału: „Rama o oczach błękitnych jak kwiat lotosu – mówi Valmiki – był panem świata, władcą duszy własnej i miłością ludzi, ojcem i matką swoich poddanych. Umiał on związać wszystkich łańcuchem miłości”.

Rasa biała, osiadła w Iranie, u wrót Himalajów, nie była jeszcze władczynią świata. Przednie jej straże musiały posunąć się w głąb Indii, do głównego środowiska Czarnych, którzy pokonali niegdyś rasę czerwoną i rasę żółtą. Zend-Avesta mówi o tym pochodzie Ramy na Indie.

Epopeja hinduska uczyniła z pochodz tego jeden z najulubieńszych swoich tematów. Rama podbił obszary, obejmujące Himavat, ziemię słoni, tygrysów i gazel. Dał on hasło do pierwszego uderzenia i prowadził pierwszy atak boju tego olbrzymiego, w którym dwie rasy walczyły nieświadomie o berło świata. Tradycja poetycka Indii, opierając się na tradycji tajemniczej nauki świątyn, przeistoczyła bój ten w walkę czarowników białych z czarownikami czarnymi. W wojnie swojej z ludami i królami kraju Džambus, Ram – jak go wówczas nazywano, – Rama, jak go nazywały ludy Wschodu, użył sposobów cudotwórczych na pozór, bowiem przekraczających zwykłe władze człowieka. Posiadanie ich zawdzięczali wielcy wtajemniczeni znajomości ukrytych sił przyrody i umiejętność kierowania nimi.

Tradycja podaje, że za sprawą Ramy wytryskiwały źródła na pustyni; zgłodniałe rzesze znajdowały niespodziewanie rodzaj manny, której sposobu używania nauczył; innym znów razem ukrócał epidemie stosowania rośliny zwanej „hom” (grecka – „amomos”, egipska – „persea”), z której wytłaczał sok

uzdrawiający. Roślina ta zyskała odtąd miano świętej wśród wyznawców jego i zastąpiła jemiołę, którą utrzymali jako świętą Celtowie europejscy.

Rama zwalczał wrogów wszelkiego rodzaju czarami. Kapłani czarnych zawdzięczali władzę nad ludami jedynie dzięki podtrzymywaniu barbarzyńskiego kultu. Hodowali w świątyniach swoich węże i gady latające, rzadkie przeżytki zwierząt przedpotopowych, którym kazali oddawać cześć jako bogom i które budziły grozę w tłumach. Węże te karmili ciałami jeńców. Rama zjawiał się od czasu do czasu niespodziewanie w tych świątyniach z pochodniami, budził postrach wśród węży i kapłanów i przeganiał ich precz. Czasem też zjawiał się w obozie nieprzyjacielskim i narażał się bezbronny na wściekłość tych, którzy czyhali na jego śmierć. Nikt jednak nie śmiał tknąć go, wracał też bez żadnej szkody do swoich. Na pełne zdziwienia pytania, zadawane tym, którzy pozwalali mu odejść bezkarnie, odpowiadali oni, że spotkawszy się z wzrokiem jego, drętwieli z przerażenia; albo też, że kiedy mówił, góra spiżowa stanęła między nimi a nim, tak że widzieć go nie mogli. Wreszcie, jako uwieńczenie jego dzieła, przypisuje Ramie tradycja indyjska podbój Cejlonu, ostatniego schronienia czarnego czarownika Rawany, na którego czarownik biały spuścił deszcz ognisty, przerzuciwszy uprzednio most przez odnogę morza. Do zbudowania mostu tego pomogły mu zastępy małp przypominających bardzo pierwotny jakiś szczep dzikich himanów, których wciągnął i zagrzał do walki ten wielki oczarowywacz narodów.

IV. TESTAMENT WIELKIEGO PRZODKA

Mocy swojej, geniuszowi swojemu i swojej dobroci zawdzięczał Rama, jak mówią święte księgi Wschodu, że stał się władcą Indii i Królem duchowym świata. Kapłani, narody i królowie korzyli się przed nim jak przed dobroczyńcą niebieskim. Wysłańcy jego szerzyli pod znakiem barana prawo aryjskie, wieszczące równość zwycięzców i zwyciężonych, zniesienie krwawych ofiar z ludzi i niewolnictwa, poszanowanie kobiety

przy ognisku domowym, kult przodków i dogmat świętego ognia, jako widomy symbol Boga nienazwanego.

Zestarzał się Rama. Broda jego zbielała, ale moc nie opuściła jego ciała, a majestat najwyższego kapłana prawdy jaśniał na jego czole, Królowie i wysłańcy narodów składali w jego ręce władzę najwyższą. Prosił o rok czasu do namysłu, a w trakcie tego ponowne miał widzenie.

Ujrzał się w lasach z czasów swojej młodości. On sam był znów młodym i miał na sobie szatę lnianą druida. Świecił księżyc. Była to noc święta, Noc-Macierz, w której ludy oczekują odrodzenia słońca i roku. Rama chodził pod dębami, wsłuchując się jak niegdyś w nawołujące głosy losu. Wtem zbliżyła się do niego piękna niewiasta z wspaniałą koroną na głowie. Jej płowe włosy świeciły jak złoto, skóra jej była białości śniegu, a oczy miały głęboki błysk lazuru po burzy. Rzekła doń: „Jestem dziką druidką; dzięki tobie stałam się małżonką promienną. Nazywam się Sita. Jestem kobietą, wyniesioną przez ciebie do chwały, jestem rasa białą, jestem twoją oblubienicą. O, panie mój i królu! Wszakże to dla mnie przeszedłeś przez rzeki, oczarowałeś narody i powaliłeś królów. Oto twoja nagroda. Przyjmij wieniec ten z ręki mojej, uwieńcz nim skroń twoją i panuj wraz ze mną nad światem”. Uklękła w postawie kornej, pełnej poddania, podając mu wieniec leżący na ziemi. Jego kamienie drogocenne połyskiwały tysiącem ognia; upojenie miłosne promieniało w oczach kobiety. Widok ten przejął do głębi duszę starego Ramy, pasterza ludów. Wtem zjawił się ponad lasem Geniusz jego, Deva Nahusha, i przemówił doń: „Jeśli włożysz wieniec ten na głowę swoją, opuści cię intelekt boski; nie ujrzysz mnie więcej. Jeśli weźmiesz niewiastę w objęcia swoje, szczęście twoje śmierć jej zada. Jeśli jednak wyrzekniesz się posiadania jej, będzie żyłą szczęśliwa i wolna na ziemi, a duch twój niewidzialny będzie panował nad nią. Wybieraj tedy: czy chcesz dać posłuch jej prośbie, czy pójść za mną”. Sita, nie podnosząc się z klęczek, patrzyła na swego władcę oczyma upojonymi miłością i wzrokiem błagalnym czekać

się zdawała na jego odpowiedź. Rama milczał przez chwilę. Spojrzenie jego utkwione w oczach Sity mierzyły przepaść, dzielącą posiadanie całkowite od rozstania na wieki. Czując wszakże, iż miłość najwyższa jest najwyższym wyrzeczeniem się, położył dłoń swoją wyzwalającą na czole białej kobiety i rzekł do niej: „Żegnaj! Bądź wolna i nie zapomnij o mnie!” Ledwie wymówił te słowa, kobieta znikła niby zjawia księżycowa. Młoda Jutrzenka dotknęła czarodziejską różdżką swoją wierzchołków lasu odwiecznego. Król stał się znów starcem. Rosa łez skropiła jego białą brodę, a z głębi lasów zawołał smętny głos jakiś: „Ramo! Ramo!”

Ale Deva-Nahusha, Geniusz promieniujący światłością, zawołał: „Za mną!” I Duch boski uniósł Ramę na górę, na północ Himavatu.

Po widzeniu tym, które wskazało mu, w jaki sposób spełnić ma posłannictwo swoje, zwołał Rama królów i wysłańców narodów i rzekł im: „Nie chcę władzy najwyższej, którą mi ofiarowujecie. Zatrzymajcie wasze wieńce i bądźcie posłuszni prawu. Zadanie moje spełnione. Chronię się na zawsze z moimi braćmi wtajemniczonymi na górę Airyana-Vaeia. Stamtąd czuwać będę nad wami. Pilnujcie ognia świętego! Gdyby zagasnąć miał, zjawiłbym się znów wśród was, ale już jako sędzia karzący, jako mściciel!” To rzekłszy, odszedł wraz z wiernymi swoimi na górę Albori, pomiędzy Balkiem i Bamayanem, do schroniska, które znane było tylko wtajemniczonym. Tam nauczał uczniów swoich wszystkiego, co sam widział o tajemnicach ziemi i wielkiej Istoty. Oni z kolei roznieśli daleko, po Egipcie aż do Okcytanii, ideę ognia świętego, symbolu boskiej jedności rzeczy, oraz rogi baranie, godło religii aryjskiej. rogi te stały się znakiem wtajemniczenia a stąd władzy kapłańskiej i królewskiej. Rama nie przestawał czuwać z dala nad ludami i nad umiłowaną swoją białą rasą. Ostatnie lata jego życia zajęte były ustaleniem kalendarza Arian. Jemu to zawdzięczamy znaki zodiaku. Był to testament patriarchy wtajemniczonych. Dziwna księga, wypisana przez Praojca rasy naszej gwiazdami,

znakami hieroglificznymi niebios na stropie bezkresnym. Ustalając dwanaście znaków zodiaku, potrójnie przypisał im znaczenie. Pierwsze tyczyło wpływu słońca podczas dwunastu miesięcy roku; drugie streszczało w pewnej mierze własne jego dzieje; trzecie wskazywało tajemne sposoby, jakimi posługiwał się, aby osiągnąć swój cel. Dlatego właśnie znaki te, odczytywane w porządku odwrotnym, stawały się z czasem ukrytymi godłami wtajemniczenia stopniowego.

Rama nakazał wiernym swoim, aby zataili fakt jego śmierci i prowadzili dalej dzieło jego, utrzymując na wieki braterstwo swoje. W ciągu całych stuleci jeszcze wierzyły ludy, że Rama, noszący na głowie tiarę z rogami baranami, żyje wciąż jeszcze na świętej swojej górze. W czasach wedyjskich Wielkim Przodkiem stał się Yama, sędzią zmarłych, Hermes kierowca dusz Hindusów.

V. RELIGIA WEDYJSKA

Geniusz organizatorski wielkiego wtajemniczonego Ariów stworzył w Azji, w Iranie, lud, społeczeństwo i ustrój życia, które promieniować miały we wszystkich kierunkach. Kolonie pierwotnych Ariów rozszerzyły się po Azji i po Europie, roznosząc ich obyczaje, ich kultury i bóstwa ich. Z wszystkich tych kolonii najbardziej zbliżoną do Ariów pierwotnych jest odnoga Ariów, zamieszkałych w Indiach.

Księgi święte Indów, Wedy, mają dla nas wartość potrójną. Przede wszystkim wiodą one nas do ogniska dawnej czystej religii aryjskiej, której hymny wedyjskie świetlnymi są promieniami. Nadto dają one nam klucz do zrozumienia duszy Indii. I wreszcie wskazują nam pierwsze skryształizowanie się podstawowych, macierzystych niejako idei ezoterycznej doktryny oraz wszystkich religii aryjskich.

Poprzestaniemy na krótkim tylko rzucie oka na formy zewnętrzne oraz na jądro religii wedyjskiej.

Nic prostszego ani bardziej wzniosłego nad religię tę, w

której głęboki naturalizm łączy się z ukrytym spirytualizmem. Przed wschodem słońca męczyzna, głowa rodziny, staje przed ołtarzem na ziemi, na którym płonie ogień, rozniecony za pomocą tarcia dwóch suchych kawałków drewna.

Przy sprawowaniu obrzędów głowa rodziny jest zarazem ojcem, kapłanem i królem ofiarnym. Podczas gdy jutrzienka wchodzi na niebo, wyłaniając się z mgieł „jak – wedle słów poety wedyjskiego, kobieta, wychodząca z kąpieli i tuląca się w najpiękniejsze, utkane przez nią samą płótna”, odmawia głowa domu modlitwę, wezwanie do Ushy (Jutrzienki), do Savitri (Słońca) i do Assurów (Duchów życia). Matka i synowie leją na ogień (Agni), płyn sfermentowany przygotowany z tojeści – soma. Strzelający w górę płomień unosi ku bogom niewidzialna modlitwę oczyszczoną, wychodzącą z ust patriarchy i z serca rodziny.

Stan duszy poety wedyjskiego tak samo dalekim jest od zmysłowości helleńskiej (mówię o kultach gminnych greckich, nie zaś o nauce wtajemniczonych w Grecji), która wyobraża sobie bogów kosmicznych zdobnych w piękne kształty ludzkie, jak od żydowskiej doktryny jednobóstwa, wielbiącej Przedwiecznego, wszechobecnego, choć nie mającego formy zewnętrznej. W pojęciu poety wedyjskiego natura podobna jest do przejrzystej zasłony, poza którą poruszają się siły nieważkie i boskie. Siły te wzywa on, wielbi, personifikuje, zdając sobie doskonale sprawę ze swoich przerośnięć. Dla niego nie tyle Savitri jest słońcem, ile Vivaswat, potęga twórcza, która w nie tchnie życie i której dziełem jest system słoneczny. Indra, boski wojownik, przebiegający niebo na swoim wozie złocistym, miotający pioruny i przeszywający obłoki, uosabia potęgę tego słońca w życiu atmosferycznym, w „wielkim przezroczu powietrznym”. Wyżej jeszcze wznosi się poeta wedyjski, kiedy wzywa varunę (Uranosa greckiego), boga bezkresnego, świetlanego nieba, obejmującego wszechświat. O ile Indra uosabia życie czynne oraz walki nieba, jest Varuna przedstawicielem niewzruszonego jego majestatu. Nic nie może

dorównać wspaniałości opisu nieba, jaki znajdujemy w Hymnach: „Słońce jest jego okiem, niebo – jego szatą, huragan – jego tchnieniem. Jego to dziełem jest ustalenie podstaw niewzruszonych, na których opiera się niebo i ziemia i on też utrzymuje je w rozdzieleniu. Wszystkiego dokonał i wszystko zachował. Dziełom Varuny nic szkody wyrządzić nie może. Nikt nie jest w stanie przeniknąć go; ale on sam wie wszystko i widzi wszystko, co jest i co będzie. Z wyżyn nieba, na którym przebywa w pałacu o tysiącu wrót, rozróżnia w powietrzu ślady przelatującego ptactwa, a na oceanie drogę okrętów prujących fale. Z wyżyn tych, z trony swego złocistego, opartego o podstawy z brązu, widzi on i sądzi działania ludzkie. Utrzymuje ład we wszechświecie i w społeczności; karze winnego; miłosiernym jest dla żałujących grzechy. Ku niemu też zwraca się okrzyk bólu i pokajania; przed obliczem jego staje grzesznik, aby zrzucić z siebie brzemień winy swojej. Obrządkowa skądinąd, często wysoce spekulatywna religia wedyjska schodzi z varuną w głębię świadomości i osiąga zrozumienie idei boskiej. Dodajmy, że wznosi się ona do czystej idei Boga jedyne, przenikającego wielką Całość i rządzącego nad nią. Potężne obrazy, roztaczane w hymnach wielkimi strumieniami, niby rzeki wezbrane, dają nam jednak pojęcie o zewnętrznej tylko obsłonie Wedów. Do samego jądra doktryny, do jej tajemniczej, ukrytej głębi docieramy dopiero wraz z pojęciem o Agni, ogniu bożym. Agni jest w istocie najdoskonalszym czynnikiem kosmicznym, podstawą wszechrzeczy. „Nie jest on tylko ogniem ziemskim błyskawicy i słońca. Istotną jego ojczyzną jest niebo niewidzialne, praźródło wszechrzeczy. Narodziny jego są nieskończone, bądź kiedy wytryska z kawałka drzewa, w którym spoczywa w uśpieniu niby zarodek w macicy, bądź kiedy jako „Syn Fal” kaskadą spada z hukiem gromu, z rzek niebiańskich, w których Acwini (rycerze nieba) spółdzili go z pajakami złotymi. Jest on najstarszym z bogów, kapłanem najwyższym nieba i ziemi; celebrował modły w siedlisku Vivaswata (nieba czy słońca) znacznie wcześniej jeszcze, aniżeli przyniósł go śmiertelnym Matariswa (piorun) i zanim Atarvan i Angirasi, ofiarnicy starożytni, zesłali go na

ziemię jako opiekuna, gospodarza i przyjaciela ludzi. Agni, kierownik i twórca ofiary boskiej, stał się też wzywaczem bogów, nosicielem wszelkich rozważań mistycznych, których przedmiotem jest ofiara. Rodzi bogów, kształtuje świat, wytwarza i podtrzymuje życie na ziemi; jest słowem, potęgą kosmogoniczną.

Soma – jest nieodstępnym towarzyszem Agni. W rzeczywistości jest on sokiem pewnej rośliny poddanej fermentacji, lanym w ofierze bogom. Istnienie jego wszakże jest – jak istnienie Agni – mistyczne. Najwyższym jego siedliskiem są głębie trzeciego nieba, gdzie Surya, córka słońca, scedziła go; gdzie znalazł go Pustan – bóg żywiciel. Tam Sokół, symbol błyskawicy, albo może sam Agni, porwali go łucznikowi niebiańskiemu, Gandarwie, strażnikowi jego, i przynieśli ludziom. Bogowie pili go i zyskali nieśmiertelność; (ludzie też z kolei staną się nieśmiertelnymi, gdy pić go będą u Yamy, w siedlisku szczęśliwych. Tymczasem daje on ziemi siłę i pełnię życia; jest ambrozją i krynica młodoci. Żywi i przenika rośliny, tchnie życiem w nasienie zwierząt, daje natchnienie poecie i siłę uniesienia w modlitwie

Autor: Edward Schuré

Źródło: „Wielcy wtajemniczeni”, Rozdział I, Hulewicz i Paszkowski, Warszawa 1923